

Bartłomiej Dzik

Zaświaty to moja specjalność

Zatrzaśnięte okiennice i zaciągnięte ciężkie kotary w kolorze dojrzałej pomarańczy skutecznie tłumiły większość odgłosów dochodzących z ciągnącej się dwa piętra niżej wąskiej uliczki. Jednak stukot stalowych obręczy kół o mokry bruk był zbyt głośny, aby nie dotrzeć do wnętrza salonu. Rzadko słyhać tu takie dźwięki. Przeciskanie się powozem lub bryczką przez labirynt ciasnych i stromych przesmyków Jaszczurzej Niecki było masochizmem, na który mało kto się decydował.

Stukot urwał się nagle, w momencie gdy był najdonośniejszy. Pojazd musiał zatrzymać się gdzieś niedaleko, być może tuż pod moimi oknami. *Czyżby ktoś do mnie...* – bardziej stwierdził, niż spytał pod czerepem głos intuicji – *to nie jest najlepszy moment, ale cóż...*

Wstałem z krzesła. Bardzo, bardzo powoli. A jednak za szybko, o czym przekonało mnie bolesne ukłucie w skroniach i czerwonawe plamki tańczące parę sekund przed oczyma. Poczłapałem w stronę okna i delikatnie rozsunąłem kotary, dosłownie na dwa palce, by klin popołudniowego światła rozjaśnił odrobinę mroki pokoju. Tylko na tyle, aby potencjalny klient nie poczuł się nieswojo.

Za drzwi wejściowych dobiegło potępięcze trzeszczenie schodów. Na górę musiały powoli wchodzić co najmniej dwie osoby. Albo jedna, ale bardzo ciężka. Wreszcie, na parę sekund zapanowała całkowita cisza, przzerwana przez trzy głośne uderzenia, czy raczej mlaśnięcia do drzwi.

– Proszę! – odparłem na tyle głośno, by osoba za drzwiami mogła mnie usłyszeć i na tyle cicho, by znów nie zobaczyć czerwonych plam przed oczyma. Klamka obróciła się gwałtownie, skrzydło drzwi odchyliło się z cichym zgrzytem i coś masywnego uderzyło o deski podłogi w przedpokoju, wywołując wibracje odczuwalne nawet w salonie. Odwróciłem się od okna i zrobiłem flegmatyczny krok w stronę biurka. W tym samym czasie moje uszy zaatakowała specyficzna kakofonia odgłosów: bum!, sapnięcie, bum!, stęknięcie, bum!

W końcu ją zobaczyłem. Grubszy od krokodylej skóry makijaż nie pozwalał na precyzyjną ocenę jej wieku, ale na oko skończyła niedawno pięćdziesiąt lat. Przy przeciętnym wzroście ważyła dobre trzy i pół cetnara. Ubrana była w blad różową suknię z mnóstwem koronek, opiętą na jej ciele jak siatka na soczystej szynce. Na szyi i otłuszczonych nadgarstkach nosiła dobre dwa funty pereł i złota. Pod żadnym względem nie przypominała moich typowych klientek.

Stała przez chwilę, ciężko dysząc.

– Pan Patryk Revillard? – spytała w końcu skrzekliwym głosem.

– Oczywiście – uśmiechnąłem się nieszczercze i dłonią wskazałem jej fotel naprzeciw biurka. Gdy nań usiadła, pocziwy palisandrowy mebel zatrzeszczał z wyrzutem.

– Przychodzę z delikatną sprawą – zaczęła konkretnym tonem.

– Nie wątpię – odparłem i zająłem miejsce po drugiej stronie biurka.

Przez moment jej małe brązowe oczka przypatrywały mi się sceptycznie. No tak, przynajmniej pod tym względem jednak przypominała inne klientki.

– Słyszałam, że pan... – Pokręciła nerwowo nosem. – Specjalizuje się w snach.

– Poniekąd. – Kiwnąłem głową.

– Oczywiście nie w tych zwykłych – dodała, jakby lekko zniecierpliwionym tonem. – Tych, związanych z wędrówką duszy po zaświatach.

– Tak – opowiedziałem, wodząc palcem po zakurzonym blacie. – Zaświaty to moja specjalność.

– Mam problem z mężem – westchnęła ciężko.

Czemu mnie to nie dziwi – odparłem w myślach, profesjonalnie zachowując kamienny wyraz twarzy.

– Podejrzewam... – zrobiła krótką pauzę, szukając odpowiedniego słowa. – Jestem przekonana, że mąż mnie zdradza.

Delikatnie wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, czy się dobrze rozumiemy... – zacząłem.

– Mąż zdradza mnie po tamtej stronie – ostro weszła mi w słowo. – Z jakimś sukubem czy innym obleśnym tałatajstwem.

Pomasowałem obolały kark i przemogłem się, by nawiązać kontakt wzrokowy z klientką.

– Pani... – zacząłem i na chwilę zawiesiłem głos.

– Eleonora de Gries – wycodziła z ociąganiem.

– Pani de Gries. Powiedzmy, że ma pani rację. Niemniej, żaden kościelny trybunał nie rozwiąże małżeństwa za coś takiego, oni mają poważniejsze sprawy na głowie.

– Mi nie chodzi o rozwód – syknęła, wbijając we mnie spojrzenie brązowych oczu.

Zmarszczyłem brwi, lekko skonfundowany.

– Nie chcę się rozwodzić – powtórzyła. – Pochodzę z bogatej rodziny, mąż dał mi tylko dobre nazwisko. Maurycy to nieodpowiedzialna, tępą kanalia, ale... jestem do niego przywiązana. Kocham go – ku mojemu lekkiemu zdziwieniu, słowa te brzmiały zaskakująco szczerze. – Przysługa, o jaką pana proszę, jest dość specyficznej natury.

– Zamieniam się w słuch – odparłem, czując na plecach nieprzyjemny dreszcz.

– Czytałam to i owo o tych zaświatowych rozrywkach – kontynuowała. – Dlatego wiem, że mąż coś zażywa, widzę jak nocami wpada w letarg. Rano budzi się skołowany, ale za to z tak błogą miną, jakby wrócił z najlepszego burdelu. Chciałabym, aby pan wytropił Maurycego po tamtej stronie i solidnie nastraszył. Tak, by raz na zawsze odechciało mu się zdradzać mnie z demonicznymi dziwkami. Wierności w naszym świecie dopilnuję już sama.

Niewiele rzeczy mogło mnie jeszcze w życiu zadziwić lub zniesmaczyć. Tym razem jednak lekko się wzdrygnąłem. Nigdy dotąd nie spotkałem tak perfidnego babsztyla i szczerze współczułem mężowi Eleonory. Tę odpychającą klientkę należało natychmiast odprawić z kwitkiem. Podpowiadał to rozsądek, elementarne poczucie estetyki, męska solidarność i wreszcie fakt, że byłem detektywem, a nie jakimś obijmordą...

– Pięćset złotych ludwików – dokończyła oschle. – Plus wszystkie koszty.

Przełknąłem ślinę, nie dowierzając własnym uszom.

– Zgoda, pani de Gries...

*

W życiu zawodowym dobrze mieć jakąś niszę. Ciasną, ale własną. Tych, którzy babrali się w przyziemnych brudach na tym łez padole, było bez liku. Tych, którzy przekraczali zakazane granice, skuszeni perwersyjnymi obietnicami demonologii i nekromancji, również nie brakowało. A ja tkwiłem pośrodku, gdzie może roboty nie było zbyt wiele, ale i konkurencja bardzo nieliczna. Poza tym naprawdę lubiłem swoją pracę i nie przeszkadzały mi docinki jednych ani drugich, że jestem, w zależności od punktu widzenia, albo na poły szaleńcem, albo na poły tchórzem.

Zlecone przez tłustą Eleonorę zadanie nie należało to szczególnie trudnych. Przynajmniej na pierwszy rzut oka, bo po przekroczeniu progu zaświatów wiele rzeczy potrafiło się niespodziewanie komplikować – tamte obszary były dużo bardziej nieprzewidywalne niż nasza swojska rzeczywistość.

Niemniej, pierwszym etapem mojej pracy było zawsze ziemskie śledztwo, do którego podchodziłem skrupulatnie, acz nigdy z wielką ekscytacją. By odnaleźć Maurycego w zaświatach, należało poznać jego ziemskie obyczaje i wejść w posiadanie paru powiązanych z nim przedmiotów. Mając po swojej stronie panią de Gries, rzecz wydawała się trywialna.

Eleonora z mężem mieszkali na przedmieściach stolicy, a u nas, w Ketlemburgu, pojawiali się od czasu do czasu w interesach. Zawsze czekał na nich apartament na ostatnim piętrze przytulnego zajazdu niedaleko ratusza. Maurycy okazał się niewysokim, barczystym mężczyzną o śniadej cerze i gładko ogolonej głowie. Wyglądał na młodszego do żony o co najmniej pięć lat. Jego przodkowie musieli wielokrotnie mieszać szlachecką krew z pośledniejszą jej odmianą, bowiem w rysach mężczyzny brakowało wzniosłości i, gdyby nie bogaty strój, mógłby uchodzić za rzeźnika czy portowego tragarza.

Gdy przyjrzałem się Maurycemu w świetle dziennym, oceniłem, że jego przygoda z zaświatami nie mogła być zbyt długa. Substancje, które pozwalają znaleźć się po tamtej stronie, odciskają, z początku subtelne, z czasem coraz wyraźniejsze piętno na ludzkim ciele. Oczy, dłonie, potem cera i włosy – to wszystko stopniowo się zmienia. Nie, bynajmniej nie chodzi o te bzdury, jakimi jędzowate piastunki straszą dzieci, że tacy jak ja muszą w końcu

wyglądać niczym żywi po śmierci. Nawet po wielu latach balansowania między światami człowiek może zachować zdrowie i urodę, ale... jest inny.

Obserwowałem go cztery dni. Zgodnie z moimi przypuszczeniami, nie był przesadnie zainteresowany prowadzeniem rodzinnych interesów, zostawiając to żonie. Owszem, raz dziennie gościł u jakiegoś bankiera czy portowego kapitana, raczej jednak w celach towarzyskich niż kupieckich, sądząc po fakcie, że podczas tych spotkań lało się słodkie wino, a nie brzęczące złocisze czy niebieski atrament. Dwa razy odwiedził też szemrane miejsca, gdzie można było nabyć specyfiki potrzebne do uwolnienia duszy z ciała.

Wreszcie, Maurycy jeden jedyny raz zawędrował do małego luksusowego burdelu, w którym spędził niecałe trzy kwadransy – widocznie przygnała go tam nagła potrzeba pomiędzy kolejnymi wypadami w zaświaty. Chwilę później parę srebrników rozwiązało język burdelmamy i dowiedziałem się trochę o specyficznych upodobaniach pana de Gries. Lubił dominujące kobiety – tyle że ładniejsze od tej, którą miał na co dzień w domu. Ta informacja mogła się okazać bardzo użyteczna na dalszym etapie śledztwa.

*

Wyrzucenie kogoś metodami siłowymi z międzyświatów zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem dla jego ziemskiego zdrowia. Wszystko zależy od tego, jakich środków użyto do uwolnienia duszy z ciała i jaka była ogólna kondycja delikwenta. Skoro Maurycy ograniczał swe podróże tylko do parogodzinnych nocnych eskapad, wystarczyły mu zapewne najsłabsze eliksiry – to zresztą mogłem sprawdzić, przeszukując jego pokoje z pomocą Eleonory. Mężczyzna poza tym wyglądał krzepko i miał mocną głowę, zatem bolesny powrót do ziemskiej rzeczywistości raczej nie groził mu atakiem serca czy obłąkaniem.

To było pocieszające, bo przy całym niesmaku związanym z tą robotą, nie chciałem mieć nawet przypadkiem nieszczęśnika na sumieniu. *Z drugiej strony, pomyślałem gorzko, być może chłopina wolalby stracić zmyły, niż dalej żyć z żoną, która zaplanowała dla niego tak okrutne imadło małżeńskiej wierności.*

Przedostatnim krokiem ziemskiego śledztwa była rozmowa w apartamencie z Eleonorą pod nieobecność Maurycyego.

– Mąż wczoraj znowu śnił, obleśny sukinsyn – przeszła od razu do rzeczy, nie zważając, że w pokoju obok kręciła się stara służąca, urodą dorównująca swej pani. – Kiedy pan zamierza zrobić z tym porządek?

– Niedługo, pani de Gries – odpowiedziałem. – Potrzebuję jeszcze tylko paru pomocnych drobiazgów. Czy ma pani portret męża z czasów młodości?

– W domu, owszem. Tutaj nie – spojrzała na mnie podejrzliwie. – A po co to panu?

– Ludzie w międzyświatach wyglądają zwykle... lepiej niż tutaj.

Nawet pani zapewne byłaby tylko umiarkowanie brzydka, dodałem w myślach.

– Aha! – westchnęła i zanurzyła tłustą dłoń w przepastnej otchłani swojego koronkowego dekoltu. Męczyła się dobre pół minuty, by wreszcie wyciągnąć masywny złoty medalion oblepiony potem i pudrem. – To było sporządzone siedemnaście lat temu, miesiąc po naszym ślubie – dodała, otwierając zawieszkę i podtykając mi pod nos kameę, która przedstawiała profile przystojnego młodego mężczyzny z burzą loków na głowie i już wtedy dość pulchnej, dystygowanej kobiety.

– Zawsze coś – odparłem, odsuwając się na parę cali od zatłuszczonego medalionu. – Czy znalazła pani jakieś pozostałości po substancjach zażywanych przez męża?

– Tylko raz, przypadkiem, w naszym domu – odparła i wstała z sofy, ciężko stękając. Podeszła do swojej masywnej toaletki, z dna jednej z szuflad wydobyła niewielkie jedwabne zawiniątko i położyła je na stoliku przede mną. Z kwiecistej chusteczki wydobyłem pustą ciemnoniebieską fiolkę w kształcie stożka. Nawet nie musiałem podtykać jej sobie pod nos. Dobry zaświatowy detektyw powinien błyskawicznie odróżniać po zapachu przynajmniej siedemdziesiąt różnych eliksirów.

– To ekskluzywny narkotyk, bardzo drogi – powiedziałem. – Wydawało mi się, że pani mąż kupuje na mieście raczej pośledniejsze specyfiki.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie znam się na tym – odparła.

– Nieważne, pewnie w rodzinnych stronach ma po prostu lepszych dostawców – mruknąłem. – Zostaje jeszcze jedna rzecz. Potrzebuję jakiegoś cielesnego śladu pani męża, to może być paznokieć, włos... krew.

– Mąż jest łysy – odparła, patrząc na mnie jak na półgłówka. – Ale... niedawno skaleczył się przy goleniu, zaplamił krwią kołnierz koszuli. Niech pan poczeka...

Wstała i, dysząc niczym kowalski miech, ruszyła w stronę garderoby. Poruszanie się zdawało się sprawiać jej nieopisany wysiłek. Niemal miałem wyrzuty sumienia, iż swoją prośbą naraziłem ją na takie cierpienia. Po paru minutach wróciła, trzymając w dłoni zmiętą lnianą koszulę.

– Proszę – Nie zważając na moją niewyraźną minę, wcisnęła mi zawiniątko wprost do rąk. – On tego przecież nawet nie zauważy – stęknęła. – Mogę w czymś jeszcze panu pomóc? – zapytała z nutką niecierpliwości w głosie.

– By nie tracić czasu po tamtej stronie, powinienem wiedzieć, kiedy pani mąż zapada w letarg – opowiedziałem. – Czy możemy umówić się na jakiś sygnał z pani apartamentu?

– No tak – odparła niepewnie. – Ale na czym to ma niby polegać?

– Będę obserwował wasze okna nocami. Proszę zapalić świecę i odchylić... powiedzmy jedną, tylko jedną połę kotary – Pokazałem na centralne okno salonu. – Wówczas jak najszybciej podążę za Maurycym.

Znowu zmierzyła mnie sceptycznym wzrokiem.

– Mam nadzieję, że się panu uda. Nie chcę tracić czasu i pieniędzy – westchnęła.

– Zawsze się udaje – odpowiedziałem. – Tylko nie zawsze za pierwszym razem.
Wydęła usta w kwaśnym grymasie, ale nic już więcej nie powiedziała.

*

Z deklaracjami klientów o pokrywaniu wszelkich kosztów bywa bardzo różnie i czasem dochodzi na tym tle do nieprzyjemnych zgrzytów. Generalnie, ludzie nie do końca zdają sobie sprawę, jak bardzo kosztowne potrafią być wypadki do zaświatów, jeśli chce się tam zostać na dłużej i zrobić coś konkretniejszego. Na szczęście Eleonora de Gries nie robiła żadnych problemów. Wysupłała dziesięć szczerozłotych monet z wizerunkiem jasnie nam panującego cesarza, zważyła je w swoich grubych jak serdelki palcach i położyła na stoliku przede mną bez jednego zbędnego słowa.

Tego samego dnia przygotowałem swoją pracownię w podpiwniczeniu kamienicy, a wieczorem udałem się do Symeona Clichy, który oficjalnie był szanowanym właścicielem dwóch aptek i gorzelni, a nieoficjalnie – równie szanowanym, choć w zupełnie innych kręgach – mistrzem nekromancji. W przeciwieństwie do swoich kolegów po fachu, Symeon cenił moją pracę, choć od czasu do czasu lubił powtarzać, że powinienem w końcu przejść na tę właściwą, cieniastą stronę.

Dziesięć złotych ludwików już drugi raz tego dnia zmieniło właściciela, ale ja byłem przygotowany nawet na bardzo intensywną eksplorację zaświatowej metropolii. Wracając od Symeona skręciłem w okolice ratusza, minąłem rząd niedawno zainstalowanych modnych gazowych latarni i w końcu rozpocząłem obserwację okien salonu państwa de Gries. Pierwszej nocy nie miałem szczęścia, ale już dzień później, tuż po jedenastej, Eleonora zapaliła świecę i odsłoniła połę kotary.

Potrzebowałem niecałe pół godziny by dotrzeć pieszo do mojej kamienicy. Z samym przygotowaniem do snu uwinąłem się w kwadrans. Wypiłem miarkę esencji *nokturnika* i wtarłem w źrenicę zieloną maść księżycową. Zakrwawione nitki z koszuli Maurycego zwęgliłem w menzurce razem z trupim bursztynem, a w powstałym w ten sposób popiele zanurzyłem opuszki palców prawej dłoni.

Rozebrałem się do rosołu i położyłem się na twardym łożu, zaścielonym szorstkim prześcieradłem. Wrzecionowatą fioletkę z żywym amarantowym skorpionem zamocowałem na dwóch rzemykach, które z kolei przywiązałem sobie do łydek. Rozgryzłem cierpkie tabletki *mortaurium* o miedzianej barwie, włożyłem między zęby gałązkę *placzokrzewu*, rozluźniłem mięśnie i zamknąłem oczy. Pięć minut później byłem już po tamtej stronie...

*

Międzyświaty zmieniają się nieustannie, niczym te dziwne morskie stwory, których ciało faluje, zwęża się i pęcznieje w trzech wymiarach, mieniąc się przy tym wszystkimi barwami tęczy. Niemniej, poruszanie się tam nie jest specjalnie trudne, a bywa nawet szybsze niż w naszym świecie, o ile tylko dusza wyzbędzie się paru szkodliwych przyziemnych nawyków.

Gdy otworzyłem oczy, klęczałem w wysokiej, ciemnozielonej trawie. Znajdowałem się na szczycie małego wzgórza, otoczonego morzem niższych pagórków. W odległości kilkunasztu mil majaczyło Limbo przypominające gigantyczną termitierę wykutą w czarnobiałym bloku granitu. Sklepienie lśniło barwą miedzi, łamaną przez falujące zorze w kolorach błękitu i burgundu – lubiłem ten układ barw, świadczący o względnym spokoju w zaświatach.

Wiedziałem, że jeśli odwrócę głowę, oślepią mnie belki niebiańskich schodów. To niby tylko cienkie mlecznobiałe kreski, ale wypalają oczy mocniej niż południowe słońce na bezchmurnym niebie. Cóż, tutaj światło działało inaczej, a człowiek nawet nie miał cienia. Chyba, że sobie kupił. Otchłani piekła nie mogłem dojrzeć z tej perspektywy, bowiem przesłaniało mi ją zaświatowe miasto. Te trzy elementy: białe niebiańskie schody, czarny lej Otchłani i Limbo były jedynymi stałymi punktami międzyświatowej geografii.

Przyjrzałem się swoim nienagannie wypiełgnowanym dłoniom, modnym sztuczkowym spodniom i wykrochmalonej koszuli z fantazyjną falbaną. Kubraczek z prążkowej różowej skóry był nieco obcisły, ale według aktualnej zaświatowej mody na pewno wyjątkowo elegancki.

Zajrzałem do sakiewki przy pasie, gdzie w akompaniamencie odgłosu podobnego do pękających baniek mydlanych materializowały się czerwone monety z dziurką po środku – spożyta na ziemi dawka *mortaurium* zapewniała mi tutaj całkiem pokaźną sumkę krwistoczerwonych dukatów. A czy na świecie, czy w zaświatach – pieniądź był tak samo ważny przy rozwiązywaniu języków, zdobywaniu przyjaciół i otwieraniu zamkniętych drzwi. W odległości dwóch minut spaceru na łagodnym stoku wzgórza stał ośmiokątny biały zajazd, z czarnymi łzami zamiast okiem namalowanymi na każdej ze ścian, co nasuwało nieodparte skojarzenia z twarzą pierrota. Jeden z kilkudziesięciu takich przybytków wokół miasta, do których trafia po drodze większość wędrowców. Zbiegłem ze wzgórza i chwilę później wchodziłem do wnętrza budynku. Jak w przypadku większości zaświatowych konstrukcji, zajazd od środka był dużo większy niż na zewnątrz. W owalnej sali mieściło się dobrych czterdzieści ław, z których połowa była zajęta przez klientów. Typowe obłożenia dla środka ziemskiej nocy.

Odepchnąłem natrętą dziwkę, która przylepiła się do mnie jak rzep, eksponując obcisły dekolt z trojgiem nabrzmiałych piersi, i ruszyłem prosto w stronę szynkwasu. Karczmarz był starym zasuszonym mężczyzną, ze stalowymi szczypcami na miejscu

odrabianych dłoni. Klasyczny czyścowy pokutnik, który opracowuje tutaj złodziejskie życie na ziemi. Trudno o lepszą gwarancję nierozwodnionych trunków i niezawyżonego rachunku. Zamówiłem kielich łzamlązji i powoli sączyłem gęsty słono-słodki płyn, lustrując gości zajazdu. Towarzystwo było typowe, czyli raczej nieciekawe. Jakiś młodziutki brunet nagle nerwowo zamachał rękoma, jego ciało zrobiło się półprzezroczyste, rozciągnęło się od sufitu do podłogi i rozpląnęło w powietrzu. Tak to jest, gdy używa się na ziemi taniego niestabilnego szajsu. Inni przez krótką chwilę patrzyli z politowaniem na miejsce po pechowym wędrowcu po czym wrócili do picia.

Niedaleko mnie krępa starsza brunetka obgryzała malutkiego humanoida, wierzgającego na końcu widelca. Kilkanaście podobnych istot skakało na półmisku przykrytym czymś w rodzaju żeliwnej wypukłej kratownicy. Z wyszukanych zaświatowych przysmaków ten był, trzeba szczerze przyznać, całkiem niezły. Jedyne minus to fakt, że płaciło się jak za zboże, a dwie trzecie dania uciekało z talerza. Ot, uroki snobizmu.

Odwrociłem się z powrotem do szynkwasu i wyciągnąłem zza pazuchy wycięty w owal pergamin. Portret Maurycego okazał się nieco niewyraźny – pewnie przez to, że użyta przeze mnie krew z jego koszuli nie była zbyt świeża. Niemniej, z pomocą palca wskazującego udało mi się poprawić i odmłodzić rysy pana de Gries. Zadowolony z rezultatu położyłem pergamin na szynkwasiu i zagadałem karczmarza.

– Przyjacielu, szukam tego mężczyzny – rzekłem, unosząc w uśmiechu kąciki ust i kładąc obok pergaminu jedną czerwoną monetę, którą jednak przytrzymałem opuszką środkowego palca.

Karczmarz pochylił się w moją stronę, końcówki jego szczypiec bardzo precyzyjnie chwyciły z obu stron krawędź dukata.

– Może go kiedyś widziałem – odparł, odsłaniając rzędy przerzedzonych, poczerniałych zębów.

Odchyliłem palec. Szczypce cofnęły się błyskawicznie i moneta zniknęła pod blatem. Zaraz potem, na miejscu po niej, położyłem dwie kolejne.

– Widziałem go... chyba dwa razy – powiedział. – Raz na przedmieściach, raz w mieście.

Dużo nakradłeś, kochasiu, skoro w paru miejscach harujesz – pomyślałem i dołożyłem trzecią monetę.

– Konkretny klient – mówił dalej. – Z tych, co nie biorą wszystkiego jak leci, ale dobrze wiedzą, czego chcą. Rozumie pan? – Spojrzał na mnie pytająco, a ja skinąłem głową. – Za drugim razem był z chowańcem.

Chowańcem? – Skrzywiłem się mimowolnie. – *Cholera, stać go na chowańca?!* Karczmarz tymczasem zamilkł, wpatrzony w stosik monet. Dołożyłem dwie kolejne.

– Gdzie w mieście go widziałeś? – spytałem.

Podrapał się końcówką szczypiec w potylicę. Pytania o dokładną lokalizację w zaświatach zawsze należały do tych nieco kłopotliwych. Choć i tak było z tym lepiej niż z pytaniami o czas, które mogły jedynie wzbudzić rechot politowania.

– To był lokal przy Placu Lamentacji, okolice trzeciego kręgu, czy jakoś tak – odpowiedział w końcu.

– A co to był za chowaniec?

– A chowaniec... to był cerber – uśmiechnął się krzywo. – Wszystkie trzy głowy rasowe, niezłe bydło.

Cofnąłem rękę znad blatu, a stalowe szczypce momentalnie zgarnęły dukaty. Milczałem przez chwilę, dopijając gęsty trunek.

– Mogę skorzystać z drzwi na zapleczu? – spytałem.

– Oczywiście – znów wyszczerzył poczerwiałe zęby i rzucił na szynkwias prosty, mosiężny klucz.

Obszedłem kontuar i znalazłem za plecami karczmarza. Stałem w przedsionku wąskiego korytarza, którego koniec tonął w ciemnościach. Po obu stronach ciągnęły się rzędy z pozoru identycznych drewnianych drzwi. Intuicja, z właściwą sobie w zaświatach stanowczością, kazała wybrać czwarte po lewej. Przekręciłem klucz w zamku, otworzyłem skrzypiące nienaoliwionym zawiasem skrzydło i wyszedłem z karczmy.

*

Znalazłem się w ciasnej uliczce wyłożonej oślizgłym brukiem, między zmurszałymi ścianami kamienic porośniętymi podwiędłym fioletowym bluszczem. Parę kropel jakiejś cieczy spadło mi na czoło, a gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem gargulca wieszającego pranie na rozpiętym między murami sznurze.

O tym, że wylądowałem gdzieś w śródmieściu, przekonywał mnie głośny gwar dobiegający z końca uliczki, w miejscu skrzyżowania z szeroką, spektakularną arterią. Zaświaty zdążyły się nieco zmienić od mojej ostatniej wizyty, ale potrzebowałem jedynie paru chwil, żeby zorientować się w obecnym rozkładzie miasta. To trochę tak, jakby poliglota czytał tę samą książkę, tylko zapisaną w różnych językach. To nic, że litery są inne, i że raz czytamy słowa od lewej do prawej, a raz z góry na dół. Moment skupienia i już wiemy, który to rozdział...

Spacerowałem szerokim pasażem, mijając fantastyczne stragany kupców, i powoli układałem ostatnie doświadczenia w logiczną całość. Maurycy musiał bywać w zaświatach częściej niż podejrzewałem, skoro pierwszy napotkany karczmarz widział go dwa razy. Trzy rzeczy: wciąż słabe piętno odcisnięte przez wędrowki duszy na jego fizycznym zdrowiu, fiołka pokazana mi przez Eleonorę i wzmianka karczmarza o chowańcu, świadczyły, że de

Gries wydawał fortunę na swoje zaświatowe rozrywki. Jego żona, nawet bardziej niż wiernością, powinna się przejmować stanem domowego skarbcza.

Plac Lamentacji jest dość charakterystycznym punktem Limbo. Oczywiście, od czasu do czasu zmienia swój kształt, lokalizację, a nawet nazwę, ale zorientowani i tak łatwo go odnajdą. Okazjonalni wędrowcy po zaświatach raczej nie mają czego szukać w tym miejscu, ale osoba o specyficznych potrzebach może tam poprosić o odszukanie konkretnej czyszcówej duszyczki albo wysłać korespondencję do nieba lub piekła.

Jeśli ktoś był równie bogaty, co romantyczny, Plac Lamentacji dawał mu choćby szansę na regularne spotkania ze zmarłą dawno temu kochanką. *Cóż – pomyślałem – za wyprawami Maurycego w zaświaty mogła się kryć bardzo sentymentalna historia, a nie tylko chęć pofiglowania z ognistym sukubem.* Co prawda de Gries nie wyglądał mi na wrażliwego kochanka z melancholijnego poematu, ale czasem pozory mylą.

Zamyśliłem się za bardzo i wdepnąłem w miskę krwi, którą chleptała karłowata skundlona mantikora. Bestia warknęła głośno i gniewnie spojrzała na mnie swoimi głęboko błękitnymi oczyma, ale na szczęście nie przyszło jej do głowy zaatakować nogawek moich sztuczkowych spodni. Bardzo mi się podobały i zastanawiałem się, czy podczas następnej wizyty wykreują się równie elegancko. Rzuciłem kundlowi wzgardliwe spojrzenie i ruszyłem energicznym krokiem w stronę tarasów prowadzących na niższe poziomy Limbo, bliżej zejścia do Otchłani.

Po koniec drogi, tuż przed wejściem na plac, zauważyłem intrygującą scenę. Na opustoszałej ulicy stały dwie postacie: czerwony bikub ze spuszczonego łbem i sierżant *Purgoguardium* – czyszcówej straży, w szarej zbroi, z kuszą na plecach i potężnym mieczem przy pasie. Zdołałem dosłyszeć fragment ich rozmowy, z której wynikało, że demon ma nieważną przepustkę do Limbo. Pokryte czarnobiałą szachownicą czoło strażnika marsowiło, a pół-kobieca, pół-męska sylwetka bikuba zginała się coraz bardziej, niczym u dzieciaka surowo karconego przez rodziców.

– Szanowni państwo, w czym problem? – Podeszedłem do nich z otwartymi rękoma i najszczerzym uśmiechem, jaki zdołałem z siebie wykrzesać.

– Proszę się nie wtrącać – Strażnik zlustrował mnie lodowanym spojrzeniem. – Demon nie ma ważnej przepustki, muszę jego-ją odprowadzić do strażnicy.

Bikub syknął cicho pod nosem.

– Ale chyba możemy to jakoś polubownie załatwić – kontynuowałem, zgrywając luzaka, choć na plecach czułem już pierwsze kropelki potu. – Pan-pani na pewno ma ważną przepustkę, a to wszystko jakieś drobne nieporozumienie. Może pomogę to sprawdzić – bardzo powoli zanurzyłem rękę w kieszeni.

Oczy strażnika błysnęły białym światłem, a dłoń powędrowała na główkę miecza. Znałem takich twardych typków. Wyciągając sakiewkę, zrobiłbym cholernie wielki zaświatowy błąd. Ale za to...

– Może państwo jeszcze raz to sobie obgadają – uśmiechnąłem się szelmowsko, a w mojej dłoni pojawiła się delikatna czarna chusteczka ze srebrnym ostębnowaniem. – A ja nie będę przeszkadzał, nikt nie będzie przeszkadzał...

To było ryzykowne, ale przecież... znam się na ludziach i nie-ludziach. Sierżant spojrzał na mnie surowo, po czym uniósł kąciki ust i delikatnie, dosłownie na ćwierć cala, skinął głową. Zatrzepotałem chustką, która rozwinęła się w parawan otaczający dwie spotkane postacie, od środka czarny, na zewnątrz przypominający taflę lustra. Zanim cała osłona się uformowała, kątem oka zdażyłem jeszcze dostrzec, że bikub klęka przed strażnikiem i wyciąga rękę w stronę rozporoka szarych spodni.

Tak właśnie powinno się załatwiać sprawy. Bikub będzie zadowolony, sierżant będzie zadowolony, przełożeni sierżanta o niczym się nie dowiedzą i oszczędzona im zostanie żmuda papierkowa robota. A ja... No cóż, chustka-niewidka to kosztowny w użyciu artefakt. Wiedziałem, że w moim ziemskim ciele z nosa poleciały dwie solidne strużki krwi, które wlały się między zęby trzymające gałązkę *placzokrzewu*. Niemniej, chyba było warto. Gdy zwinąłem parawan, bikub oblizywał wargi a strażnik ciężko dyszał.

– Panie sierżancie, wszystko w porządku z przepustką, nieprawdaż? – zaśmiałem się i poklepałem go delikatnie po plecach. Mruknął coś pod nosem i pomaszerował w stronę, z której przyszedłem.

– Dziękuję, kochaneńki... – zaszcebiotał demon, po czym wybałuszył ślepią ze zdziwienia, widząc w mojej dłoni srebrny bełt, który pozwoliłem sobie pożyczyć z kuszy strażnika.

– Mogę tego potrzebować. – Wzruszyłem ramionami.

– O... no tak. Dziękuję, kochaneńki – powtórzył. – Może mogę w czymś pomóc? – złożył usta w trąbkę i wyeksponował na ciele swoje kobiece atrybuty.

– Szukam tego mężczyzny, jest szansa, że kręci się w rejonie placu – pokazałem mu portret Maurycego.

– Nie widziałem – odparł. – Ale mogę popytać...

– Na razie rozejrzę się sam, to delikatna sprawa – odpowiedziałem. – Ale... Może mógłbyś, mogłabyś – zawsze mi się plątał język, jak rozmawiałem z obojnakami – mi się później na coś przydać. Chodzi o ostry numer.

– Ostry jak siarka w szóstym kręgu piekieł? – dopytał, teatralnie mrugając powiekami.

– Ostrzejszy!

– To lubię – uśmiechnął się, odsłaniając żółte stożkowe zęby. – Bardzo lubię. Myślisz, że za co unieważnili mi przepustkę...

Przełknąłem nerwowo ślinę. Przesadzić z perwersją w Limbo to trochę tak, jakby oparzyć feniksa albo utopić krakena. Demon tymczasem bezceremonialnie przesunął pazur wskazującego palca po moim policzku i, głośno mlaskając, oblizwał kroplę krwi.

– Będę wiedziała, gdzie cię znaleźć – mruknął. – Jakby co, nazywam się Serygyriel – Odwrócił się, ruszył prężnym krokiem w stronę placu, rozwinął skrzydła i poszybował ostro w górę. Po chwili skręcił w lewo i zniknął za dachem kamienicy.

Rzeczy układają się pomyślnie, choć trochę zdrowia będzie mnie to wszystko kosztowało – pomyślałem, chowając srebrny belt w wewnętrznej kieszeni kubraka.

Do Placu Lamentacji przylegały dwie tawerny. W pierwszej obsługiwało młodziutkie czyścicowe dziewczę, która poza spojrzeniem pięknych smutnych oczu nie miało wiele do zaoferowania. Niemniej, przyjemnie było zawiesić na niej wzrok. Dałbym głowę, że trafiła do Limbo za zakatrupienie jakiegoś sadystycznego ojczyma czy podobny incydent.

W drugiej tawernie obsługa już kojarzyła Maurycego, ale nie powiedzieli mi nic ponad to, co usłyszałem od karczmarza na peryferiach. Już miałem opuścić lokal, gdy moją uwagę przykuł siedzący samotnie w rogu, pozbawiony oczu starzec. Na blacie przed nim stała karafka wybornej – sądząc po kolorze – łązmałzji i spał włochaty czarny pająk, wielkości główki kapusty. Spokojnym krokiem podszedłem do jego stolika.

– Mogę się dosiąść – spytałem cicho.

– Proszę – odparł i pogładził czule korpus pająka. – Może łązmałzji? – zapytał, po czym wyciągnął z karafki kryształowy korek, ścisnął go w kościstej dłoni i postawił przede mną perfekcyjnie oszlifowany kieliszek.

– Chętnie – siadłem na zydlu i nalałem sobie po brzegi. – Choć nie powinienem, robię się po niej zbyt sentymentalny, a to przeszkadza w pracy – uśmiechnąłem się przepraszająco i uniosłem kieliszek do ust.

Starzec odwzajemnił uśmiech.

– Szukam mężczyzny, który kiedyś kupił chowańca, dużego cerbera... – Wyciągnąłem zza pazuchy pergamin i położyłem na stole. Starzec przesunął dłoń po blacie, dotykając krawędzi portretu.

Przez chwilę milczał. Czuję, że coś wie. Pytanie tylko, czy zechce się ze mną tą wiedzą podzielić. Moja sakiewka nie była wobec niego mocną kartą przetargową. *Pewnie pożyczysz sobie moje oko* – pomyślałem z przekąsem. To była akceptowalna cena.

– Niejaki Maurycy – odparł, a w jego głosie wyczułem dobrze maskowaną niechęć.

Byłem podwójnie zaskoczony. Chyba nawet bardziej przez fakt, że Maurycy w zaświatach jest również Maurycem. Znam może pięć osób, wliczając siebie, które w Limbo używają imienia nadanego na chrzcie. To świadczyło o braku kompleksów; o tym, że de Gries miał klasę.

– Odradzałem mu zakup, to są tępe stworzenia... – dodał.

– Ale wierne – odparłem.

– Wierne, bo bezmyślne – odpowiedział i nalał sobie złocistego trunku. – Proponowałem mu golema albo cień, ale on się uparł i kupił cerbera u konkurencji. Łazić z psem po mieście... strasznie głupie.

Na tym właśnie polegają ziemskie sentymenty, nie omieszkałem dodać w myślach.

– A do czego potrzebował chowańca? – spytałem niewinnym tonem.

Milczał przez chwilę, leniwie muskając opuszkami palców szczecinę pająka.

– Nie wypada mi mówić o klientach. To tajemnica zawodowa – odparł beznamiętnie. – No, ale zastanówmy się, czysto teoretycznie... Ktoś lubi się tutaj ostro zabawić, jak większość gości. Dobrze, powie pan, do tego nikt nie potrzebuje ochroniarza. Założmy jednak, że on chce trochę ostrzej niż większość gości... Nie wygląda pan na głupiego, proszę sobie resztę dopowiedzieć.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Dziękuję bardzo – odparłem.

– Nie ma sprawy. – Podrapał się w nos. – Przecież w niczym nie pomogłem. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

Robocza hipoteza o romantycznej schadzce ze zmarłą kochanką legła w guzach, ale za to kolejna cegiełka, bardzo solidna, uzupełniła moją logiczną układankę. Maurycy był dużo mniej subtelny, niż jeszcze chwilę wcześniej myślałem, za to dużo bardziej wyrafinowany. Plac Lamentacji nie był jego docelową lokalizacją w Limbo, a jedynie wygodnym przystankiem, z racji tego, że prawie zawsze leży niedaleko Otchłani.

Pan de Gries odwiedzał najgorszą dzielnicę zaświatowego miasta, słynne Czerwone Tarasy, znajdujące się przy samym zejściu do piekieł. To miejsce dla prawdziwych koneserów, których interesuje coś więcej niż chędożenie młodego inkuba jako substytut ziemskiej sodomii.

W Czerwonych Tarasach obowiązywały nieco inne reguły gry, niż w reszcie miasta. Tutaj żadnej pikantnej rozrywki, ale niedoświadczony gość, mógł z dużym prawdopodobieństwem skończyć z poderżniętym zaświatowym gardłem, a przy jeszcze większym pechu stać się źródłem pikantnej rozrywki dla innych. Wówczas kosztowny spacer po Limbo, zamiast miłymi wspomnieniami, kończył się bolesnym przebudzeniem w obsikanej pościeli.

*

Bywałem już wcześniej nie raz w Czerwonych Tarasach i perspektywa kontynuowania śledztwa w tym miejscu mnie nie przerażała. Niemniej, zadanie nie było łatwe z dwóch powodów. Po pierwsze, jest to najbardziej labiryntowa i morficzna część Limbo. Po drugie, obsługę tamtejszych przybytków stanowiły diabły, które – w przeciwieństwie do w miarę pocziwych dusz pokutnych – albo kłamały, albo były cholernie interesowne.

Inaczej niż w przypadku ziemskich podłych dzielnic, które cuchną i się rozsypują, pierwszy przedsiónek Otchłani bił po oczach bizantyńskim przepychem. Miejsce kamienic zajmowały zigguraty w kolorze krzepnącej krwi, połączone płataniną wielopoziomowych

złotych estakad, wyglądających jak kręgosłupy gigantycznych potworów. Szerokie aleje ozdabiały szpalery drzew, z których zamiast liści zwisały poczerniałe, zdeformowane ludzkie dłonie.

O ile w innych częściach Limbo spacerujące po ulicach ludzkie dusze to co najmniej trzy czwarte wszystkich przechodniów, w Czerwonych Tarasach proporcja była odwrotna i większość spotykanych istot stanowiły demony i przeróżne międzyświatowe abominacje. Człowiek z cerberem musiał rzucać się tutaj w oczy, ale – jak już wspomniałem – nie oznaczało to, że miejscowi chętnie udzielą informacji na jego temat.

Spróbowałem szczęścia w pierwszym z brzegu lokalu, dużym domu gry. Zastanawiałem się nie raz, jak bardzo trzeba być uzależnionym od hazardu, aby grać na pieniądze przeciw diabłu. Ale ponieważ ludzie są, jacy są, w lokalu nie brakowało chętnych na szybkie pozbycie się paru czerwonych denarów.

Przysiadłem się do pustego stolika, gdzie rogaty krupier leniwie kręcił ruletką. Robiące za kulkę ludzkie oko z plaskiem przeskakiwało kolejne przegródki.

– Szukam mężczyzny z cerberem – od razu przeszedłem do konkretów. – Mógł się tu kręcić niedawno. Dobrze zapłacę.

– To obstaw nieparzyste za dziesięć – odparł diabeł.

Obstawiłem. Oczywiście przegrałem.

– Co za pech... – westchnął krupier i zaczął kontemplować stiukowe sklepienie, ignorując mnie kompletnie. Czyli wyszło jak zwykle w Tarasach.

Westchnąłem ciężko pod nosem, wstałem od stołu i ruszyłem do wyjścia. Wówczas diablica, wyższa ode mnie o pół głowy, wsunęła mi dłoń pod ramię i lekko przycisnęła swoim ciałem do złotej spiralnej kolumny.

– Nie znam co prawda żadnego mężczyzny z cerberem – powiedziała, niemal muskając długim językiem moje ucho. – Ale mogę zrobić ci tak dobrze, że będziesz wył jak trójgłowy pies. Co ty na to?

– Nie, dziękuję, może innym razem – odparłem stanowczo.

– A może jednak teraz – syknęła, dociskając mnie do kolumny. Jej lewa dłoń z pazurami długimi na trzy cale, wsunęła się pod poły kubraka. Nagle ryknęła głośno, cofając dymiące palce. Biedaczka zahaczyła o srebrny belt. Sądząc po tym, jak zataczała się między stolikami, musiało ją anielsko zabołec.

W domu gry zrobiło się nerwowo. Wykidajło, minotaur o łbie szerszym niż młyńskiego koło, poderwał się z ławy na końcu sali. Szybkim krokiem dotarłem do wyjścia, na szczęście nikt nie próbował już mnie niepokoić. Zatrzymałem się na środku ulicy, ciężko dysząc.

– Ja widziałem tego jegomościa, dosłownie chwilę temu – dobiegł mnie słaby głos zza pleców.

Odwrociłem się. Stał przede mną niewysoki blady szatyn w podartej czarnej todze z zielonym kołnierzem. Tak... prawnicy to jedyna grupa, która spaceruje w stroju roboczym nawet w przedsionku piekła. Musiał wyjść za mną z domu gry.

– A to dobrze się składa. – Byłem lekko zaskoczony i nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Minęliśmy się na ulicy, gdy wchodził do... domu uciech – wyjaśnił. Spodobał mi się prawniczy dobór słów. – To lokal cztery przecznice stąd, na lewo, z dużym szyldem przedstawiającym... – chwilę szukał właściwych określeń – płonący trójząb z fallusów zanurzony w trzech wagonach. No tak... chyba tak to właśnie wyglądało.

Zaśmiałem się pod nosem.

– Dziękuję! – odparłem, ale zaraz potem zmarszczyłem brwi. – Dlaczego mi pan właściwie pomaga?

Wyglądał, jakby moje pytanie go nie zdziwiło.

– Bo ja wiem... – odparł, uśmiechając się gorzko. – Podobało mi się, co pan zrobił tam... Mnie wcześniej też ta diablica złożyła propozycję nie do odrzucenia. Tyle, że miałem mniej szczęścia od pana.

– I co, był pan jak trójgłowy pies? – mimowolnie spytałem.

Zrobił minę kwaśniejszą od soku z limonek i odwrócił się w stronę domu gry.

– Niech się pan nie przejmuj. Kto nie ma szczęścia w miłości, ten ma szczęście w kartach. Czy jakoś tak... – rzuciłem na odchodnym i ruszyłem we wskazanym przez niego kierunku.

Dom uciech, ze posłużę się określeniem użytym przez mężczyznę w todze, wyglądał z zewnątrz dość ascetycznie według piekielnych standardów, jeśli nie liczyć wspomnianego szyldu. Byłem pod dużym wrażeniem elokwencji prawnika, który ubrał w przyzwoite słowa to, co przedstawiała rzeczona płaskorzeźba. Jako detektyw też niby potrafię nieźle zagadać, ale mimo wszystko na drabinie retoryki lokuję się parę szczebli poniżej złotoustych mecenasów.

Energicznym krokiem wszedłem do środka. Znalazłem się w owalnej komnacie obitej intarsjowanym bursztynem. Podłogę zaścielał wielki kobierzec z wyhaftowaną parą oczu na tle geometrycznego wzoru. Zamrugały filuternie na mój widok. Zanim zdążyłem się rozejrzeć, podeszła do mnie elegancka korpulentna meduza.

– Witamy! – wysyczała uprzejmie. – Pan chyba u nas pierwszy raz?

– Tak – odpowiedziałem, udając lekkie zakłopotanie. – Ale mój znajomy, Maurycy, polecił mi wasz lokal...

– Och, to nasz stały klient – uśmiechnęła się, a węże na jej głowie zafalowały.

Celny strzał! Odwzajemniłem uśmiech.

– Właściwe, to nie bardzo wiem, na co się zdecydować – dalej udawałem zmieszanego. – Maurycy miał mi wczoraj coś polecić, ale nie dokończyliśmy rozmowy...

– To masz sporo szczęścia, kochany, bo akurat gościmy pańskiego przyjaciela. Odpoczywa teraz po kąpielach z syrenkami ...

– Ach, cóż za zbieg okoliczności! – zgrywanie głupka wychodziło mi całkiem niezle. – Jeszcze nigdy się w zaświatach nie spotkaliśmy.

– Jest teraz w apartamencie pod siódmką – powiedziała. – Zaanonsować pana?

To chyba nie będzie dla niego szczęśliwa siódmka.

– Nie, może zrobię mu niespodziankę.

Gestem ręki wskazała mi schody na antresolę. Zdziwiłem się, że tak łatwo wszystko łyknęła, meduzy są generalnie dość inteligentne. Ta chyba była przede wszystkim chciwa.

– Jeszcze, jakbym mógł prosić o małą czarną na rozgrzewkę – uśmiechnąłem się.

Chwilę później chimera o odnóżach skorpiona i tułowiu cycastej blondynki przyniosła mi obsydianowy naporstek z dymiącą mrokwitą. Smakuje to jak podgrzana musztarda, ale za to świetnie orzeźwia rozmemłany łzamlazją umysł.

– Serygyriel, potrzebuję cię szybko – wyszeptalem, skupiając myśli. Powoli, kroczek po kroczeniu, ruszyłem po schodach na górę. Gdy stanąłem przez fantazyjnymi drzwiami z rubinową siódmką, błoniaste skrzydło bikuba musnęło moje ramię.

– Dobry lokal, tylko trochę drogi – stwierdził demon na przywitanie. – Zaciągnąłeś mnie tu na jakiś trójkącik?

– Nie do końca – westchnąłem. – Mam dla ciebie robotę. Będę się streszczał, bo za drzwiami jest chowaniec, który wyczuje nasze intencje. Tam jest jeden gość, który generalnie lubi ostre numerki. Trzeba mu jednak zrobić numerka tak ostrego, że wyleci z Limbo i nie będzie chciał tu nigdy wrócić. To musi być mocna rzecz, nie wystarczy urwać facetowi jaja. Odniosłem wrażenie, że nadajesz się do takiej zabawy.

– Przecież mówiłem – odparł, szelmowsko szczerząc zęby. – Ale tutaj... mogą być kłopoty – rozejrzył się.

– Jakby co, biorę wszystko na siebie, załatwię też chowańca – zza drzwi dobiegł nas stłumiony warkot, zwierzak już coś wyczuł. – Aha, możesz mu w trakcie powiedzieć, że tęskni za nim kochająca żona. Do dzieła!

Drzwi nie były zamknięte – Maurycy bardzo wierzył w skuteczność swojej trójgłowej bestii. Nie miałem zbyt dużo czasu rozejrzeć się po pokoju, odnotowałem tylko, że wygląda on lepiej niż ziemski komnata schadzek arcyksięcia. De Gries leżał błogo w kremowych jedwabkach na łożu mogącym pomieścić pewnie z sześć osób.

Cerber błyskawicznie rzucił się mi do gardła, dymiąc z pyska – tylko po to, by nadziać się krtanią na srebrny bełt. Starzec z Placu Lamentacji miał poniekąd rację, że to głupie zwierzęta. Drapieżnik zdychał w męczarniach, skomlał żałośnie niczym skopany kundel. Serygyriel nie tracił czasu. Wskoczył okrakiem na Maurycego i zakneblował mu usta kolczastą końcówką swego ogona.

– No to się zabawimy! Na pewno ci się spodoba – wysyczał w twarz przerażonemu mężczyźnie. – Chcesz popatrzeć? – odwrócił się do mnie.

– Nie, zdecydowanie nie – odparłem, wycofując się pośpiesznie na korytarz.

Demon uważał, by nie robić za dużo hałasu, a ja starałem się nie skupiać na odgłosach dochodzących z pokoju numer siedem. Nie było to proste. Trudno powiedzieć, ile czasu minęło, zanim bikub otworzył drzwi – może odpowiednik dziesięciu ziemskich minut, może trochę więcej. Gdy wróciłem do środka, wewnątrz apartamentu wyglądało, jakby eksplodował tam gigantyczny pomidor. Tam, gdzie leżał de Gries, widniała tylko półprzezroczysta pionowa smuga, ślad po wycofującej się z zaświatów duszy.

– Dobra... robota – pierwsze słowo ciężko przeszło mi przez gardło. – No to jesteśmy kwita. Powiedziałeś mi o żonie?

– Wspomniałem – odparł. – Miał mocno zdziwioną minę i zaczął nieskładnie bełkotać, ale nie bardzo go rozumiałem, bo już wtedy był bez zębów...

Cholera, coś tu nie pasuje – życzliwy głos intuicji zaczął nagle wysuwać jedną cegielkę z mojej misternie ułożonej konstrukcji.

– Cholera – zawtórował głośno demon, wskazując palcem na ślad po duszy Maurycego. Smuga, zamiast zniknąć, rozjaśniła się i rozpełzła po ścianach niczym gęsty dym z paleniska. To oznaczało tylko jedno – de Gries był martwy. Tak naprawdę martwy, na naszym ziemskim padole.

– To nie tak miało być – jęknąłem głupkowato.

– To ja znikam – odparł lakonicznie demon, skoczył do drzwi i tyle go widziałem.

Zacząłem intensywnie myśleć, do czego zachęcał rozgrzany mrokwitą umysł. I wtedy popełniłem dość amatorski błąd w pracy detektywa, to znaczy myślałem trochę za długo. Nawet jeśli to „za długo” oznaczało marne pięć sekund.

W drzwiach pokoju Maurycego dostrzegłem wściekłą meduzę. Wciąż miałem w gotowości srebrny bełt, ale ona była szybsza. Jej oczy błyszczały jak dwie nadmorskie latarnie...

*

Przenieśli mnie do niedużego pokoju na zapleczu. Rozebrali mnie do naga i przywiązali do kanciastego żeliwnego krzesła. Paraliż ustąpił.

– Rozumiem, że ktoś musi załatwiać swoje porachunki – odparła pochylona nade mną piekielna burdelmama. – Ścierpię nawet to, że wybrał sobie na to mój lokal. Ale ty chyba trochę przesadziłeś, kochasiu. Straciłam przez ciebie jednego z najlepszych klientów. I co ja mam teraz z tobą zrobić?

Gdybym był trochę mniej doświadczony w zaświatach, zgrywając twardziela, odpowiedziałbym coś w stylu „pocałuj mnie w dupę!” Jednak w przedsiönku piekła taka

deklaracja byłaby boleśnie samospełniającą się przepowiednią. Zatem milczałem, robiąc niewinną minę.

– Wiem co sobie myślisz: i tak zaraz stąd zniknę, a ty mnie możesz co najwyżej pocałować w dupę, głupia meduzo.

No proszę, jednak inteligenta z niej babka, westchnąłem w myślach.

– Nic na to nie poradzę, to fakt. Ale zanim nas opuścisz, chciałabym odzyskać przynajmniej część poniesionych strat. Pewien nasz bogaty klient ma bardzo specyficzne upodobania... Nadasz się doskonale. Potraktuj to jako lekcję dobrych manier na przyszłość.

Jak nisko upadłem, żeby w przedsionku piekła musieli mnie grzeczności uczyć. Ciężko przełknąłem ślinę.

Burdelmama usiadła na zydlu w rogu pokoju. Chwilę później do pomieszczenia wszedł potężny mężczyzna o posągowych rysach, ubrany w liliowe adamaszki. Dałbym głowę, że na ziemi jest jakimś arystokratą, szanowanym za mądre i sprawiedliwe rządy.

– Posłuchaj, przyjacielu – zacząłem. – Załatwmy to szybko. Skręć mi kark i już. Bo inaczej odnajdę cię na ziemi i obiję mordę. To jak będzie?

Nie odpowiedział, tylko na odlew uderzył mnie w twarz. Cholernie mocno. Sukinsyn wybił mi parę zębów i złamał żuchwę. Zapowiadało się źle... Bardzo źle, biorąc pod uwagę, że w zaświatach nie można stracić przytomności. Trzeba cierpieć do końca.

Przyklęknął przed krzesłem i przez chwilę patrzył mi w oczy niczym surowy ojciec na marnotrawnego syna. Niezdarnie plunąłem w jego kierunku wybitym zębem, ale nie miałem szans trafić. On tymczasem pochylił się, chwycił moją dłoń i, wcale się nie spiesząc, odgryzł mi dwa palce. Ból był obłędny, pomimo złamanej żuchwy charczałem jak szlachtowana świnia.

W końcu poczułem eteryczne szarpnięcie, obraz przed oczyma zawirował. Jakie to szczęście, że nie skąpiłem złotych ludwików na zabezpieczenia po ziemskiej stronie. Meduza i jej klient musieli mieć nietęgę minę, widząc jak przedwcześnie ich odpuszczam.

Niemniej, tego arystokratycznego gościa i tak kiedyś odnajdę. I obiję mu mordę.

*

Obudziłem się skręcony jak stary kot, mokry od potu, śliny i moczu, z zakrzepłą krwią pod nosem i na brodzie. Amarantowy skorpion leżał martwy między moimi nogami, ale wcześniej doskonale spełnił swoje zadanie, ściągając mnie z zaświatów, gdy zrobiło się gorąco.

Czułem się beznadziejnie. Wiedziałem, że przez parę godzin nie kiwnę palcem. Dopiero wczesnym popołudniem doprowadziłem się do stanu, w którym mogłem wyjść na ulicę. Chwilę wcześniej bankier dostarczył mi zdeponowane u niego pięćset ludwików. Eleonora myślała zapewne, że to kończy sprawę i zamyka mi usta. Ale ja postanowiłem sprawdzić, za

co właściwie dostałem te pieniądze. Gdy dotarłem w okolicę ratusza i odwiedziłem zajazd, w którym mieszkała pani de Gries, dowiedziałem się, że o świcie odwiedził ją posłaniec. Eleonora spakowała się i wyjechała przed południem. Z mężem.

Reszta była formalnością, sprowadzającą się do wyprawy poza miasto, przejrzenia ksiąg heraldycznych i paru rozmów z właściwymi ludźmi. Było dokładnie tak, jak zacząłem podejrzewać jeszcze pod koniec pobytu w zaświatach – Maurycy miał brata bliźniaka.

Willem de Gries mieszkał dwadzieścia mil na północ od Ketlemburgu i dorobił się fortuny na handlu zagranicznym. Nigdy nie założył rodziny. Był patologicznie uzależniony od różnych światowych i zaświatowych rozrywek, które zrujnowały mu zdrowie. Dlatego w Limbo potrzebował chowańca, by mieć gwarancję, że podczas spacerów i perwersyjnej zabawy nie spotka go przykra sytuacja, która groziła zawałem serca po ziemskiej stronie. Dodatkowo, zapewne uznając to za bardzo dowcipne, posługiwał się w zaświatach imieniem brata.

Willem uważał Maurycyego za nieudacznika i tchórza, ale utrzymywał z nim kontakt i zapewne czasem chwalił się bujnym życiem w Limbo. Tym samym niezbyt ostrożnie zwierzał się swemu jedynemu prawnemu spadkobiercy, który nie był wcale tak głupi, na jakiego wyglądał, i który miał bardzo przebiegłą żonę.

Eleonora z Maurycym w pewnym momencie musieli dostrzec dla siebie wielką szansę na szybkie wzbogacenie. Na pewno też dokooptowali przynajmniej jednego współnika – przekupiony sługa Willema dostarczył im kiedyś fiolkę po narkotyku, a później szybko powiadomił o śmierci swojego pana.

A ja? Dałem się zrobić jak trzyletnie dziecko. Bezmyślnie łykałem wszystko, co mi podsuwali, nie zwracając uwagi na różne drobne nieścisłości. Wytropiłem dla nich w zaświatach i niechący zabiłem człowieka, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem. Co więcej, w ziemskich trybunałach, świeckich i kościelnych, nie mogła ich za to spotkać żadna kara. Ujawniając całą sprawę, przede wszystkim pogrążyłbym siebie.

Byłem poniżony i wściekły. Mogłem oczywiście spróbować przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego, cieszyć się z pięciuset zarobionych ludwików i gratulować państwu de Gries, że tak pięknie wystrychnęli mnie na dudka. Mogłem... Ale wpadłem na lepszy pomysł.

*

Nie czułem specjalnego żalu – po prostu uznałem, że taka jest naturalna kolej rzeczy. Gdy odwiedziłem Symeona Clichy i wyluszczyłem mu swój plan, on tylko wybuchnął życzliwym śmiechem. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś śmiał się tak długo.

Trzy dni później staliśmy w wyłożonej marmurem krypcie niewielkiego rodzinnego grobowca. Na pięciu żeliwnych postumentach płonęły czarne znicze. Grobowa stęchlizna

mieszała się z odorem świeżej posoki i słodkawym zapachem *trupiorzębiny*. Symeon w skupieniu kreślił w powietrzu kolejne symbole, rozsypywany przez niego popiół nie opadał na posadzkę, ale oblepiał szczelki niewidzialnej drabiny.

W środku odkrytego sarkofagu coś drgnęło. Na marmurowej krawędzi pojawiła się nadgniła dłoń, potem powoli wychyliły się głowa i korpus. Paznokcie poczerniały i wydłużyły się o dwa cale. Skóra trupa wysychała na naszych oczach, marszczyła się i szarzała. Wreszcie oczy Willema de Gries zapłonęły niczym wyjęte z paleniska węgle. Nie znałem się na tym zbyt dobrze, ale miałem wrażenie, że wrócił jako bardzo porządny upiór.

– Witaj, Willemie – zacząłem. – Gdzieś tam już kiedyś się spotkaliśmy, ale pewnie słabo to pamiętasz. Pomówmy zatem o przyszłości... – Oblicze upiora wolno obróciło się w moją stronę. – Opowiem ci teraz krótką historię. Jestem pewien, że gdy skończę, zapalasz gorącą chęcią odwiedzenia brata i ukochanej szwagierki...